

Przyczyny kinematograficzno-geograficzne powodują sytuację, w której aktorom warszawskim, łódzkim czy wrocławskim o wiele łatwiej jest dostać rolę w filmie niż aktorom krakowskim. Tak się bowiem złożyło, iż wytwórnie filmowe zostały zlokalizowane właśnie w Warszawie, Łodzi i Wrocławiu. Z kolei najlepszy w Polsce teatr od niepamiętnych czasów stoi w Krakowie.

Tak więc aktorzy krakowscy mają do wyboru dwie drogi: miłość do zawodu tak wielką, że zwycięża w konfrontacji z miłociami innymi – jak w przypadku Wojciecha Pszoniaka, albo manifestacyjne odwrócenie się od wielkiego świata, troskliwe uprawianie własnego ogródka – jak w przypadku Jana Nowickiego.

Anna Dymna wybrała tę drugą drogę. Co więcej – wydaje się, iż myśli o karierze odwiedza ją raczej rzadko lub w ogóle. Z pierwszej roli – w „Cudzie w Alabamie” – którą miała zagrać jeszcze jako dziecko – zrezygnowała w zamian za obiecany przez ojca rower. Debiutowała dopiero w „Weselu” w reżyserii Lidii Zamkow.

Niechęć do „wyścigu szczurów” pielęgnował w niej niewątpliwie Wiesław Dymny. Poeta, prozaik, scenarzysta, aktor, a przede wszystkim osobowość – za nic miał błyskotki. Dymny cenił ciężką pracę. Mieszał na strychu, z którego razem z żoną zrobili dom. A potem wszystko się spaliło.

Anna często wraca we wspomnieniach do tego małżeństwa. Twierdzi, iż to właśnie mąż nauczył ją żyć.

Wydaje się, że Dymna i kino mieli do siebie podobny, nicuśny stosunek. Anna Dziadyk (takie jest bowiem paniczkie nazwisko aktorki) widziała w wynalazku braci Lumière przede wszystkim zabawę, reżyserzy fotografowali głównie ładną buzię. W filmie „Nie ma mocnych” grała córkę Pawlaków i Kargulów, młodą dziewczynę śmiało prezentującą eksportowe wdzięki na tle rosnącej w siłę drugiej Polski, a w ostatniej części trylogii zatytułowanej „Kochaj albo rzuć” – żyła dostatniej dzięki pracy na czarno w Stanach Zjednoczonych. W „Sekrecie” Romana Zaluskiego była uwiedzioną przez profesora-crotomana studentką. Nic wielkiego, ale w Krakowie nie ma przecież wytwórni filmowej.

Mówiąc bardzo na wyrost: Anna Dymna była doktorem Jekylllem i panem Hyde. W teatrze grała w „Nocy listopadowej” Andrzeja Wajdy i „Dzia-



Dymna

czyli kolejność



„Tylko strach”

dach” Konrada Swinarskiego. Przez ekran przesuwala się jako atrakcyjna dziewczyna. Owszem, była, mówiła, ruszała się i podobała, ale to wszystko. Najambitniejszą do niedawna rolą była Barbara Radziwiłłówna w filmie i serialu telewizyjnym w reżyserii Janusza Majewskiego. Ale i tu historią kierowali mężczyźni, ona zaś miała za zadanie ładnie się zakochać i szybko umrzeć. Na tyle szybko, by w finale wybrzmiał zza kadru „Walc” Miłosa, nijak nie mający się do treści obrazu.

Piszę o teatrze, a przecież za teatrem nie przepadam. Drażni mnie nie tyle konwencja – do niej można się wszak przyzwyczaić – co zupełnie prozaiczne skrzywienie desek (które właśnie są na przykład trawą) i przybrudzone stroje postaci. Kiedy jednak oglądałem „Wiśniowy sad” reżyserowany przez Jerzego Jarockiego, i Dymną grającą Anię, nie słyszałem żadnego skrzywienia i nie rozpraszaly mnie kostiumy drugiej świeżości.

Dekada sukcesu – cokolwiek o niej mówić – zmieniła jednak bardzo wiele. Ówczesny szef Radiokomitetu – cokolwiek o nim pisać – wprowadził do polskiego życia nową jakość. Telewizję. Niemal-

że z dnia na dzień film przestał być najważniejszą ze sztuk. Lokalizacja wytwórni przestała decydować o popularności aktora.

Największe kreacje Anny Dymnej to kreacje w Teatrze Telewizji. W spektaklach krakowskiego OTV zagrała Kładnię w „Czarodziejskiej górze” i Bertę w „Emigrantach” Joyce’a.

Było to zaledwie parę lat temu. Dymna zmieniła zupełnie wygląd. Przytyła. Jej delikatne rysy pogrubiały, straciła wiele z dziewczęcości. Już na pewno nie mogła wystąpić



„Jak daleko stąd, jak blisko”

w jakiejś kontynuacji „Samych swoich”.

I wtedy właśnie stanęła przed zadaniem najtrudniejszym w całej jej – niech mi wybaczy słowo – karicrze. Aktorzy marzą o Hamlecie, aktorki – o Ofelii. A jednak istnieje w światowej literaturze rola równie wielka, choć nie w dramacie.

Kiedy dowiedziałem się, że Maciej Wojtyzko pracuje nad telewizyjną wersją „Mistrza i Małgorzaty”, pomyślałem, iż będzie to spektakularna porażka. Filmy Andrzeja

uczuć

Wajdy i Aleksandra Petrovicia, których podstawą jest powieść Bułhakowa, nie okazały się przecież – mówiąc delikatnie – arcydzielniami. Poza tym, zupełnie niezależnie od trudności adaptacyjnych, do realizacji opowieści o diabelskiej ekipie lądującej w środku wczesno-stalinowskiej Moskwy oprócz wyjątkowo starannie dobranej ekipy aktorskiej konieczny jest wielki wysiłek scenograficzno-kostiumologiczny, no i aparatura do efektów specjalnych, a nią Telewizja Polska roku 1987 nie mogła dysponować.

I było to wyraźnie widać. Wieżowce „Intraco” wchodzą w kadr podczas panoramy, Wisła w żaden sposób nie mogła uchodzić za rzekę Moskwę, bal u Wolanda był wyjątkowo kameralny, a o locie na miotle woł nie pisać. Za to tylko Gustaw Holoubek mógł tak sugestywnie wcielić się w postać znużonego szatana czyniącego

dobro, Zbigniew Zapasiewicz tak prawdziwie zapytał „Co to jest prawda?”, a Tadeusz Bradecki tak po prostu na to pytanie odpowiedział. Nie wyobrażam sobie Mistrza innego niż ten zagrany przez Władysława Kowalskiego – Mistrza znerwicowanego, pozbawionego nadziei, ginącego w oczach. A jednocześnie pełnego godności. Wielkie aktorstwo.

Dymna w roli Małgorzaty... Z początku wydawało mi się, iż Anna Dymna może być Bułhakowską bohaterką przed posmarowaniem się maścią. Na ekranie zobaczyłem jednak kogoś zupełnie nowego: prawdziwą kobietę, miękką, pamiętającą niedawną zalotność. A przede wszystkim bardzo piękną i zdecydowaną na wszystko, byle tylko uratować ukochanego mężczyznę. Taką, która pójdzie do samego piekła, jeżeli będzie go mogła w ten sposób ocalić. Lecz przecież uratuje też Friedę.

W scenie balu u szatana Małgorzata dowiaduje się, że nigdy nie wolno nikogo o nic prosić. Fragment ten nie był do tej pory dla mnie zupełnie jasny. Dopiero dzięki Annie Dymnej zrozumiałem, iż jest to klucz do postaci autora, a ściślej – jego stosunku do władzy – despotycznej, okrutnej, niemożliwej do racjonalnego ujęcia. Władzy, przed którą należy się ukorzyć. I nigdy nie prosić, w oczekiwaniu na okrucieństwo. Małgorzata Dymnej przyjmuje tę zdumiewającą prawdę jako oczywistość, niczemu się nie dziwi i nie próbuje dochodzić swego, tj. wygęzkowania obietnicy. Wie, że ci potężniejsi, „sami proponują, sami wszystko dadzą”. W to

właśnie wierzył konający Bułhakow w oczekiwaniu na telefon z Kremla.

Trochę wbrew Jerofiejewowi, kobieca, ciepła i radosna okazała się Natalia w „Nocy Walpurgii” w reżyserii Kazimierza Kutza. To też zasługa Dymnej.

I wreszcie nagrodzona na gdyńskim festiwalu w roku 1993 rola Katarzyny w filmie Barbary Sass „Tylko strach” to publicystyka i nie należy dziwić się uproszczonemu obrazowi świata, gdzie na Woronicza pracują ojcowscy abstynenci i siostrzane abstynentki, a bohaterka jest rozpijiana tylko w czasie kręcenia reportażu w terenie (teren to wszystko, co nie jest Warszawą). Poznaliśmy ją w klubie Anonimowych Alkoholików, gdzie – po rocznej terapii – ma zająć się dziewczyną jeszcze bardziej chorą od siebie. Ale – podobnie jak w autorskiej wersji „Straconego weekendu” – z korkociągu nie można wyjść. Katarzyna miota się jak ćma – i jak ćma dąży do samozniszczenia. Dymna wygląda strasznie – otyła, z przetłuszczonymi włosami, złana potem. I jest prawdziwa, przerażająco prawdziwa.

Wbrew logice – ale po to, by dać nadzieję uzależnionym – „Strach” ma szczęśliwe zakończenie. Doskonale rozumiem reżyserkę i aktorkę. To dobrze, że ludzie kina myślą o sobie jak o kimś, kto nie powinien szkodzić. Życie jest ważniejsze od artystycznego efektu.

Anna Dymna spaceruje po Plantach z ośmioletnim chłopcem. Nigdy już nie zagra Joanny z „Łuku tryumfalnego” i chyba się tym tak bardzo nie przejmuję. Życie jest ważniejsze od najważniejszej roli. ■